



PISMO TYGODNIOWE.

Treść:

S. Doliński. DIALOG w sprawie polskiej („Norddeutsche Allgemeine Zeitung” przeciw Sazonowowi). — Z izb prawodawczych. — x. Ludność Armenji. — Na marginesie: *Civis*. Odpowiedzialność publiczna. — Królestwo o swej szkole ludowej (Memorjał do władz okupacyjnych austriackich). — Raptularz tygodniowy: Szkoła Rysunkowa. — Lichwa chlebowa. — Dział beletrystyczny: Dwa strumienie: M. Pobóg. Kiedyś... Roman Musiałik. A więc coś z tego, że nas tu nie będzie?... — Józef Ujejski. Nowy tom listów Słowackiego. — Alfred Musset. Muszka (c. d.). — Bees. Z mego notatnika.

DIALOG w sprawie polskiej.

(„Norddeutsche Allgemeine Zeitung” przeciw Sazonowowi.)

Podczas gdy w Niemczech obowiązuje i surowo jest przestrzegany zakaz pisania i publicznego rozprawiania o „celach wojny”, wybitni dyplomaci czwórporozumienia nie krępują się żadnymi względami, i chętnie a obszernie wyjawiają zamiary swych państw co do przyszłości. Być może, że staną się powściągliwsi w mowie, jeśli te ich zamiary będą tak blizkie urzeczywistnieniu, jak dzisiaj są dalekie. Z tego względu te ich dążenia, które nie godzą bezpośrednio w egzystencję i bezpieczeństwo Niemiec, przy zawieraniu „honorowego pokoju” przez zwycięskie Niemcy uwzględnione być mogą i zostaną, bo inaczej pokój byłby tylko zawieszeniem broni.

Po kongresie wiedeńskim faktycznie kwestja polska w znaczeniu międzynarodowym nie istniała, gdyż wszyscy kontrahenci za powszechną zgodą ją rozstrzygnęli; i tak trwał ten stan rzeczy od roku 1815 do 1914.

Mocarstwa centralne nie ujawniły dotąd swego stanowiska wobec traktatu wiedeńskiego z przytoczonych wyżej powodów. Natomiast pewne światło rzuca na stanowisko grupy czwórporozumienia osta-

tnie oświadczenie rosyjskiego ministra spraw wewnętrznych, Sazonowa, złożone na posiedzeniu świeżo otwartej Dumy.

Ustęp mowy Sazonowa, tyczący się Polski, brzmiał, jak następuje:

„Smutne wiadomości dochodzą nas z zajętych chwilowo przez nieprzyjaciela obszarów. Widzicie, Mości Panowie, co się dzieje w Polsce, tej naszej siostrzycy. Wobec nieszczęsnych, jęczących wśród ciężkich doświadczeń, możemy tylko zawołać: „Odwagi, godzina oswobodzenia wybiła!” Jak ironja okrutna, brzmi pochwała, której Niemcy sami sobie udzielają za dobrodziejstwa, którei rzekomo obsypali ludność zajętych obszarów. Prasa niemiecka jest szczególnie dumna z powodu utworzenia uniwersytetu polskiego w Warszawie. Jest to pułapka, na którą chce się chwycić zaufanie Polski, wyniszczonej przez Niemców. Lecz zamiar ten jest skazany zgóry na niepowodzenie. Od początku wojny Rosja wypisała na swym sztandarze połączenie części rozszarpanej Polski. Cel ten, wskazany przez panującego a obwieszczony przez wodza naczelnego, leży społeczeństwu rosyjskiemu na sercu. Rosja otrzymała na to aprobatę naszych sprzymierzeńców. Jest to niezmiennie naszym celem, teraz jak dawniej.

„Jak zaś zapatrują się Niemcy na te uświęcone usiłowania całego narodu polskiego? Skoro Niemcom i Austro-Węgrom udało się wtargnąć do Polski, pospieszyły z podziałem między sobą części dotąd niepodzielnej obszaru polskiego. Aby osłabić



K-85/1416
83. 180.

wrażenie, które wywołał ten nowy zamach na urzędywistnienie dążenia polskiego, zdawało im się, że muszą uczynić ustępstwa na rzecz pewnych podrzędnych życzeń ludności polskiej. Dlatego założyli uniwersytet polski.

„Lecz nie należy zapomnieć, że autonomia Polski, proklamowana tutaj na tej trybunie na rozkaz cara przez szefa rządu cesarskiego, przynosi polskie szkoły narodowe wszelkich stopni, włączwszy naukę w uniwersytecie. Mówię zresztą o zamiarze rekrutowania kilkuset tysięcy na ziemiach okupowanych, aby je jako żer armatni pozwolić zabić za tryumf germanizmu.“

Widzimy więc, że całe czwórporozumienie, a z niem Rosja, uważa zniesienie postanowień kongresu wiedeńskiego za konieczne, a nawet za jeden z „niezmiennych celów wojny, teraz jak dawniej.“ „Części rozszarpanej Polski mają być połączone, i mają otrzymać autonomję.“

Manifest Naczelnego Wodza, W. X. Mikołaja Mikołajewicza, przeszedł — jak się okazuje — pewną ewolucję. Jest zasadnicza różnica między „odezwą, jakich wiele“ Naczelnego dowództwa a proklamowanym uroczystie celem wojny, mającym aprobatę całej grupy państw wojujących.

W tem miejscu, gdybyśmy chcieli się trzymać udeptanej już ścieżki, powinniśmy naigrawać się i natrząsać z Rosji, której świat urzędowy teraz dopiero ma dla nas słowa braterstwa i współczucia, gdy już na to wszystko zapóźno. Darują nam jednak nasi czytelnicy, że nie widzimy korzyści tych ćwiczeń stylistycznych, w których celuje między innymi i nasz poseł z Zagłębia, p. M. Łempicki.

Chyba że chodzi o wystawienie sobie samemu tym sposobem certyfikatu patriotyzmu i obmycia się z podejrzeń o rusofilstwo; że jednak w sumieniu swoim jesteśmy co do jednego i drugiego spokojni, potrzeby zapełniania szpał gorącymi okrzykami przeciw Rosji nie czujemy.

Natomiast przytoczymy głos daleko kompetentniejszy w tej sprawie od naszego, głos tych sfer, od których zależy najbliższe ukształtowanie się przyszłości naszej, a mianowicie odpowiedź, daną Sazonowowi przez organ półurzędowy rządu niemieckiego, „Norddeutsche Allgemeine Zeitung“.

Przed pół rokiem z górą, w sierpniu z. r., rzekł Kanclerz niemiecki, mówiąc o sprawie polskiej: „nie będę powtarzał obłudnych obietnic naszych wrogów!“ niech mówią czyny! Na tem samem stanowisku stoi wywieszony artykuł „Norddeutsche A. Z.“, który wytykając obłudę Rosji, objawianą aż do ostatniej chwili, przeciwstawia domyślnie słowom rosyjskim czyny mocarstw centralnych.

Przedewszystkiem wskazuje „Norddeutsche A. Z.“ na to, że obecne zachowanie się Rosji jest tylko zakończeniem i koroną popełnianych przez 100 lat

ciężkich błędów wobec Polski. Kto panował tylko zapomocą gwałtu i przemocy, uciskał wiarę, niszczył szkolnictwo polskie, odmawiał Polsce najprymitywniejszych form samorządu, nie może nagle znaleźć w swem sercu miłości dla Polaków.

Z tego krótkiego zestawienia silnie uderza kontrast między 100-letnimi rządami rosyjskimi a półrocznym zaledwie pobylem armji niemieckiej i austro-węgierskiej. Już otrzymaliśmy z rąk Głównej Komendy Samorząd miejski, na współczesną miarę zakrojony; ludność miejscowa ma odtąd możność ujęcia w swe ręce, wglądania i kontrolowania całej gospodarki miejskiej; język rosyjski znikł z napisów na rogach ulic, z magistratów, biur policji i innych urzędów.

Spółeczeństwo nasze otrzymało pozwolenie na otwarcie wyższych zakładów naukowych w Warszawie; co więcej, gdy samo chciało ponosić koszt ich utrzymania, władze okupacyjne przyjęły koszt ten dobrowolnie na siebie, przeznaczając na to pewną część podatków.

Również postarano się o sprowadzenie powag naukowych, założenie i rozszerzenie seminarjum germanistycznego, słowem, rozciągnięto nad ogniskiem naszej kultury opiekę władz. Sazonow twierdzi, że te starania niemieckiego Zarządu cywilnego są jakoby tylko środkiem do odwrócenia uwagi polaków od nowego podziału Polski, jaki się w ich oczach dokonuje. A któż-to pierwszy z „niepodzielonej odtąd całości“ ziem Królestwa oderwał Chełmszczyznę?

Kto po stu latach, kiedy stare rany narodu już nieco się zabiłiły i zrastać zaczynały, dał znów hasło krajania żywego naszego organizmu jakby sztuki sukna, z której można odciąć i odmierzyć temu na płaszcz, temu na ubranie? Słusznie pisze gazeta rosyjska, „Dzień“: „Sazonow musi się teraz przekonać, jak trudno jest prowadzić dobrą politykę zewnętrzną, gdy wewnętrzna była złą.“ Sazonow nie potrzebuje nam zwracać uwagi na to, co *nas* boli, nie jego; nam się wydaje, że krew tryska z naszej ziemi, gdy w nią wbijają słupy graniczne — on ostrzega — kogo? nas?

Norddeutsche A. Z. podaje dalej nowe szczegóły o interpretacji oficjalnej odezwy W. Księcia, według której słowa „Polska wolna w swej wierze, języku, samorządzie“, miały się odnosić tylko do ziem polskich, mających być zdobytymi przez wojska rosyjskie.

Analogiczne słowa odezwy Głównego Dowództwa wojsk niemieckich i austro-węgierskich „niesiemy Wam wolność“ mogły się tyczyć oczywiście tylko Królestwa, gdyż w innych częściach Polski od dawna już panuje zubełna swoboda i wolność obywatelska, poręczona konstytucyjnie. „Mocarstwa centralne“ powiada *Norddeutsche A. Z.* „pracują praktycznie nad dobrem kraju, o ile to jest możliwem

w kraju planowo spustoszoną przez soldateskę rosyjską, dbają o wyżywienie kraju, którego zaopatrzenie z zewnątrz stało się niemożliwym wskutek samowolnych przyjaciół, Anglii i Rosji“.

Starań tych wyliczać nie potrzeba, są zawsze powszechnie; świeżo dała wyczerpujący ich obraz ta sama Norddeutsche A. Z. w odpowiedzi na twierdzenia angielskie, że mocarstwa centralne oglądają Polskę. Ostatnio dowiedzieliśmy się jeszcze o rozległych projektach, mających na celu odbudowę miast zniszczonych (Kalisza) i zaludnienia opustoszałego wskutek barbarzyńskiego odwrotu rosyjskiego kraju drogą planowej kolonizacji. W tem władze okupacyjne nawiązują do dawnej tradycji państwowej Piastów śląskich, którzy w podobny sposób kraj przez najazdy tatarskie zniszczony, skrzyżnymi i pracowitymi osadnikami z Zachodu napowrót zaludnili i do kwitnącego stanu doprowadzili.

„Z wszystkich tych — pisze „Norddeutsche Allgemeine Zeitung“, kierujący politycy polscy odwrócili się od Rosji i zwrócili się ku mocarstwom centralnym, po których spodziewać się mogą nie pustych słów, lecz *konkretnych widoków wypełnienia życzeń narodowych*.“

I to zdanie, podobnie jak i poprzednie, nie jest pustą przechwałką, lecz jest poparte faktami. Jak bowiem donosi warszawski „Goniec Wieczorny“, zebranie z 80 ludzi ze wszystkich stron kraju, bez różnicy przekonań, stanu i wyznania, oświadczyło się za bezwzględna walką z Rosją i za poparciem mocarstw centralnych bez zastrzeżeń.

„Los Polski, kończy się swe wywody „Norddeutsche A. Z.“ przestał spoczywać w ręku ministrów rosyjskich. Ręce, którym go polecono, ustrzegają ją przed powrotem gospodarki rosyjskiej i potrafią ją ustrzedz z zewnątrz i wewnątrz od następstw tej gospodarki“.

S. Doliński.

Z izb prawodawczych.

Posel Trampczyński (na posiedzeniu Sejmu pruskiego w d. 1 b. m.).

„...Tak poseł Fuhrman, jak i p. von Bockelberg wyrazili swoje niezadowolenie, ponieważ poprzedni mówca z mojej frakcji oświadczeniom partji konserwatywnych i partji narodowo-liberalnej mniejszą przypisywał wagę, niż oświadczeniom rządu. Rząd wprowadzie do oświadczenia swego dodał zastrzeżenie, mające wykluczyć systematyczną kolonizację polską. Ufamy wprowadzie lojalności rządu obecnego, że przynajmniej w najbliższej przyszłości za-

strzeżenie to nie będzie w ten sposób stosowane. Nie czuję się upoważnionym do omawiania tu prywatnych układów, i nie zwykłem tego czynić; ponieważ panowie ci mnie jednakże do tego zmuszają, muszę im przypomnieć, że przecież o sprawie tej nie po raz pierwszy mówimy z tej trybuny, że raczej już poprzednio przedstawiciele partji większości na moje pytanie, co rozumie się przez interesy kolonizacji niemieckiej, nie mogli dać oświadczenia, mogącego jako-tako zadowolić. Mianowicie, nie zdołali oni usunąć obaw moich, że już sąsiednie osady polaków w pobliżu kolonji niemieckich mogłyby zaszkodzić tym interesom. Właśnie dlatego, że doniosłości zastrzeżenia nie dało się bliżej określić, uważaliśmy dalsze układy za bezużyteczne...“

Posel Szebeko (na posiedzeniu Rady państwa, według „Rieczy“ z d. 23 lutego T. A. Wolffa).

„...Spustoszoną Polskę opuściły wojska rosyjskie, a miejsce ich zajęli Niemcy. Polacy musieli ponownie wychylić gorzki puhan udręczeń. Zdawałoby się, że w tych warunkach naturalnem byłoby ze strony rządu, którego dawniejsze omyłki tak umiejętnie w Polsce potrafili wykorzystać Niemcy, by przyszedł od słów do czynu i dał bratniemu narodowi, ponoszącemu bez szemrania ogromne ofiary, dowód faktyczny, iż nieodwołalnie postanowił ze swą przeszłością zerwać. Niestety, oczekiwania polaków w tym kierunku najzupełniej zawiodły. Już po ogłoszeniu zasady autonomji obsadzono wakujące w okupowanej Polsce stanowiska dawnym trybem i osobami dawniejszej kategorii, a równocześnie Niemcy w Warszawie otwierali uniwersytet. Zdawałoby się zupełnie naturalnem, iż rząd w takich warunkach, w chwili ze względów historycznych tak wyjątkowej, poruszając w deklaracji sprawę połączenia ziem polskich, podkreśli również nieodzowną konieczność odbudowania Polski niepodległej, dla łączności interesów w dziedzinie zagadnień międzynarodowych, a tem samem pokrzepi skołatane go ducha polskiego i doda mu sił do oczekującej go ciężkiej walki. Zdawałoby się, że rząd oświadczy wyraźnie, że odtąd niema w Cesarstwie miejsca na bezprawie względem polaków i że niezwłocznie zostaną odwołane na całym obszarze Cesarstwa wszelkie ograniczenia, zniżające polaków do rzędu obywateli drugiego stopnia, chociaż naród polski od początku wojny zaciągnął się niezwłocznie w szeregi. My, przedstawiciele narodu polskiego, nie możemy się powstrzymać od zaznaczenia, że oświadczenia i czyny rządu w sprawie polskiej nie odpowiadają bynajmniej kategorycznemu nakazowi, rozgrywających się obecnie wydarzeń historycznych.“

Ludność Armenji.

Zdobycie Erzerumu przez wojska rosyjskie przypominało światu Armenję, gdyż Erzerum — u południowych stoków Kaukazu, a u wstępu do Małej Azji — jest stolicą Armenji i dwie ścierające się tu ze sobą potence, Turcja i Rosja, walczą nie na własnej, lecz jako najeźdźcy na ziemi obcej, ormiańskiej. Ormianie są jednym z najniezwyklejszych z pewnością narodów na kuli ziemskiej. Lud prastary, kulturalny, wykształcony, zdolny, pełen cnót życiowych, przywiązany namiętnie do swego narodowego obyczaju i tradycji, jest od stuleci już igraszką wrogich losów i ulega despotyzmowi i przesławianiom obcych rządów.

Obszar między górnym Eufratem a Tygrysem, z biblijną górą Ararat, która miała się stać przystanią dla arki Noego, zajmują Ormianie od czasów prazamierchłych, a historycznie poczęli żyć już w głębokiej starożytności; kraj ich od bohatera narodowego Armenaka nazwali sąsiedzi Armenją, „Armina“, sami jednak jego mieszkańcy zwali się i zwa się dotąd „Haikh“ od imienia legendowego swego praojca, podobnie, jak u nas od Lecha nazywali się Polacy Lechitami. Kilkakrotnie tworzyli Ormianie niezależne państwo, które burze dziejowe niszczyły, a które sięgało daleko poza pierwotne ich siedziby. We właściwej Armenji po raz ostatni żyli półsamodzielnym życiem od końca IX w. po Chr., pod wicekrólewską dynastję Bagratydów, zawiśnię od kalifatu; podczas wojen krzyżowych wytworzyli jeszcze raz, w południowej Anatolji, poza obrębem swych ścisłych siedzib, państwo niepodległe, które upadło z końcem XIV w.; ostatnim królem Ormian był Leon VI, zmarły w r. 1393. W ciągu długiej parotysiącletniej swej egzystencji dziejowej, tracąc własną państwowość, ulegali Ormianie Asyryjczykom i Medom, zależni byli od Persji, od Aleksandra Wielkiego, od Rzymu, Bizancjum, Arabów, wreszcie Turków i Rosji. Już w III w. po Chr. przyjęli chrześcijaństwo, rozbici następnie na kilka różnych kościołów, a w V w. przetłumaczyli biblię na język ormiański. W VI w. posiadali już kwitnącą literaturę narodową, która rozwijała się następnie aż do ostatnich czasów. Słynne są z pielegnowania nauk, głównie historycznych, klasztory ormiańskie (katolickie) w Rzymie, Marsylii, a zwłaszcza na wysepce San Lazzaro pod Wenecją, którą odwiedzali wielokrotnie i nasi uczeni.

Straciwszy przewagę liczebną we własnym kraju, Ormianie stracili tem samem podstawę do odzyskania kiedyś bytu niepodległego. Żądają tylko „reform“. Są one paląco konieczne, gdyż życie tego wysoce kulturalnego narodu, wydanego na łup wszelakiej zbieraniny, zwłaszcza półdzikim rozbójniczym Kurdom, jest istnem piekłem na ziemi. Prześladowania, gwałty i grabieże stanowią chleb codzienny Ormian. Aby doprowadzić do zmiany tych stosunków, Ormianie poczęli odwoływać się do Europy, domagając się jej interwencji. W r. 1887 patriota ormiański Loris Melikow, generał w służbie rosyjskiej, oraz trzej Ormianie zajmujący wybitne stanowiska w Egipcie, Nuhar, Turganes i Boghos, założyli związek pod nazwą „Anglo-Armenien Association“ w Londynie. Niebawem powstały w innych centrach Europy „komitety ormiańskie“ dla

popularyzowania sprawy Ormian w państwach, mających żywotne interesy na wschodzie. Domagano się, aby Europa zażądała od Porty otomańskiej reform dla Armenji. A równocześnie z tą akcją na zewnątrz, pod wpływem rozpaczki tworzyły się tajne związki w kraju, do spokojnego kupieckiego narodu znalazł dostęp nawet ruch anarchistyczny i kilkakrotnie dochodziło do lokalnych wybuchów, które kończyły się głośniami w całym świecie rzezią Ormian; były i takie, których jedynym impulsem było poczucie bezkarności motłochu. W tych straszliwych warunkach nie przestają przecież Ormianie — skupieni dokoła swego „katolikosa“ w Eczmiadzinie — pomnażać skretnie swych dóbr duchowych i materialnych, wśród imponującej ofiarności na cele narodowe, z niezachwianą wiarą i ufnością w przyszłość. Może przyszłość tę dobrze zasłużoną przyniesie im teraźniejszy przewrót dziejowy. Tymczasem zdobycie stołecznego Erzerumu przez wojska rosyjskie jest dla Ormian przejściem z jednego jarzma w drugie; mogą tylko porównywać — które łżejsze?

Pomiędzy Polską a Ormianami istnieje niejedna analogja, poczynając od tego, że toczy się na ich ziemi wojna, którą inni prowadzą. Naród ormiański ulega trzem różnym państwom: Turcji, Rosji i Persji. Lud to naogół nieliczny — wynosi około półtrzecia miliona głów. W Armenji tureckiej, która tworzy główną dzielnicę narodu, ze względu na tradycje historyczne, żyje Ormian 650.000, w rozprószeniu w różnych krajach otomańskich 500.000; z czego w samym Konstantynopolu 160.000; w zaborze rosyjskim na południowych stokach Kaukazu około miliona; w Persji około 100.000. Tragedją narodu ormiańskiego jest to, że nawet ściśle etnograficzne jego terytorjum jest niesłychanie silnie przesycane obcymi żywiołami, co przypomina niekiedy zachodnie kresy Polski, szczególnie nasze Prusy królewskie. Lecz, pominąwszy zupełnie wynarodowione skrawki naszych ziem zachodnich, u nas stosunki nie są jeszcze tak straszne, jak w kraju Ormian. Tam rodzima prastara ludność jest już naogół w mniejszości na własnej ziemi. Tylko w wilaście Wan i w guberni erywańskiej tworzy ona tam większość absolutną, wszędzie pozatem pomniejszana z Turkami, Kurdami, Grekami, schodzi do czwartej, a nawet piątej części ludności; straszliwy to obraz narodu, który nie mógł lub nie umiał zatkać szczelin, jakimi ci obcy ludzie wciskali się do jego ojczyzny.

Garść Ormian — około sześciu tysięcy — mamy, jak wiadomo, wśród siebie. Są to potomkowie wychodźców ormiańskich, którzy przed wiekami schronili się pod skrzydła naszej gościnnej i wspaniałej Rzeczypospolitej. W dziejach naszych, mimo swej liczebnej szczupłości, zajęli chlubną i trwałą kartę. Oddawna są najlepszymi synami swej nowej polskiej ojczyzny, a rody Ormian naszych, niegdyś kupieckie, potem rycerskie i ziemiańskie rody Barączów, Pirałowiczów, Antoniewiczów, Torosiewiczów, Teodorowiczów, Issakowiczów i tylu innych, zespolone z Polską wszystkimi włóknami duszy, prócz indygenatów sejmowych zdobyły sobie najzaszczytniejszy indygenat — miłości współrodaków, okupionej krwią i służą.

NA MARGINESIE.

Odpowiedzialność publiczna.

Słusznie ktoś zauważył, że obecnie daje się łatwiej zauważyć różnicę między zdadnością do pracy a tylko piękną etykietą do niej, zarówno wśród pojedynczych ludzi jak obozów. Czasy obecne nad wyraz ułatwiają wzajemne poznanie się, oszacowanie, kapitałnie przyczyniają się do krystalizacji opinii, skupienia sił społeczno-kulturalnych. To jest pewnik, wszystkim dobrze znany, pomimo pozornych sprzeczności i różnorodnych „orientacji” w rozgwarze wojny i jarmarcznego zgłębku, jaki się na ziemiach naszych rozgrywa.

Atoli jedno małe zastrzeżenie: czy w tem poznawaniu się wzajemnem stosujemy wymiar słusznego krytycyzmu, jaki w konsekwencji wydarzeń stosować należy? Czy stawiamy sobie przed oczy obowiązek prosty, dyktowany sumieniem obywatelskim i rozumem, aby słusność oddać prawdzie i potrzebie chwili, słów nie tać, jeno mówić, co się komu należy, aby z tego „korzystać społeczna była”? czy w poczynaniach wszystkich wyżej zawsze stawiamy rzecz ponad ludzi, i że jeżeli chodzi o dobro sprawy, tedy niema względów dla przyjaciół ani znajomych? Jednem słowem, czy sami jesteśmy w odpowiedzialności społecznej bez winy i skazy i czy innych odpowiedzialnymi w równy sposób czynimy?

Odpowiedź: niezawsze!

I to jest właśnie jedną z najpilniejszych naszych potrzeb — stosować odpowiedzialność tę zarówno względem siebie, jak względem innych. Na wszelkie sposoby przyczyniać się do możliwie najlepszego wyjaśnienia naszego życia, zanim się wojna skończy, iżbyśmy mogli bez straty i zachodu jąć się pracy publicznej w nowych warunkach. Nadmierna nadczułość, drażliwość, nietykalność na zasłużoną krytykę, mającą na celu jedynie i wyłącznie *rzecz*, a nie ludzi, winna ustąpić hartowności, stokroć więcej wyteżonym zabiegom i trudom, niż w jakichkolwiek innych warunkach, wzmożonej energii i rytmiczności wysiłków społecznych, za które wszyscy jesteśmy wobec przyszłości naszej, jak względem siebie w wysokim stopniu odpowiedzialni.

Mówić sobie prawdę w oczy, wyjaśniać, prostować zaszłe wydarzenia, ale nie owijać w bawelnę, nie jak mimoza wiednąć pod ciężarem własnych błędów i cudzych napomnień. Żadnych względów dla siebie, jeżeli chodzi o rzecz wielkiej wagi. Przede wszystkim powinno nam chodzić o nią właśnie, potem o ludzi, w których pieczy się znajduje. Ludzie, piastujący stanowiska społeczne winni odpowiadać godnie dzisiejszym swoim obowiązkom. Czujność społeczna winna czynić ich już dzisiaj odpowiedzialnymi za błędy, jakichby się dopuścili. Tylko w takim razie i w tych warunkach, każda praca czy to kulturalna, czy społeczna, czy jakakolwiek inna zostanie uwieńczona powodzeniem.

Brzdzielci, oszczerców, szarlatanów, agitatorów i cały legion fałszywych proroków, których nie trudno jest dzisiaj rozpoznać, wyświecić już należy w sumieniach własnych za dziesiątą granicę i postawić ich za nawias społeczny.

Civis.

Królestwo

o swej szkole narodowej.

(Memoriał do władz okupacyjnych austriackich).

Do „generalnej gubernji okupacyjnej” w Lublinie wpłynął w ostatnim czasie memoriał, wniesiony przez szereg organizacji społeczno-kulturalnych, w sprawie usunięcia języka niemieckiego z programu reorganizowanych szkół ludowych w tej części Królestwa, która zostaje pod zarządem austriackim.

W memoriale tym — według orzeczenia prasy — stwierdzają inicjatorzy, że „jednym z najważniejszych postulatów naszych jest szkoła narodowa, w której widzimy źródło naszego odrodzenia po wiekowym ucisku”, a motywują żądanie swoje szczegółowe następującymi argumentami.

„Rada Szkolna krajowa galicyjska w ostatnim wydaniu planów naukowych dla szkół ludowych zapowiedziała „zasadniczą rewizję tych planów oraz instrukcji, uwzględniającą uchwały konferencji narodowej z r. 1907, tudzież wynik ankiet, zwołanych na życzenie Sejmu Krajowego”. Ankiety, o których mowa, obejmowały także sprawę nauki języka niemieckiego w szkołach ludowych, istniejącą w Galicji w myśl artykułu 3 ustawy krajowej z 22 czerwca 1867 r. Wyniki ankiet w tej sprawie dowodzą, że w sferach, uznanych za najbardziej powołane do wypowiedzenia się, panuje w Galicji głębokie przekonanie o konieczności przeniesienia języka obcego na wyższy szczebel nauki.

Konieczność ta tembardziej istnieje w Królestwie Polskiem. Nauka języków obcych winna według powszechnego zdania współczesnych pedagogów, rozpoczynać się dopiero wtedy, kiedy dziecko nauczy się poprawnie wyrażać swe myśli słowem i pismem w języku ojczystym i uabędzie większy zasób słów i wyrażeń. W przeciwnym razie nie osiąga się należytych rezultatów w nauce języka własnego, poznanie zaś obcego języka w zakresie ubogiego słownika dziecięcego, przedstawia minimalne wartości, zwłaszcza, że uchodzi prędko z pamięci dziecka.

Jeżeli zdanie to jest słuszne wogóle, staje się zupełnie oczywistem dla każdego, o ile mamy na myśli kontyngens dzieci, uczęszczających do szkół ludowych w Królestwie. W pierwszych latach nauki szkolnej dziecko ludu, wynoszące z domu rodzicielskiego bardzo mały zasób słów i wyrażeń, często gwarowanych lub należących do miejscowego żargonu miejskiego, napotyka na ogromne trudności w przyswojeniu sobie bogactwa naszego języka literackiego. Wobec niskiego poziomu kultury naszych mas, względ ten ma dla nas daleko większe znaczenie, niż dla narodu, gdzie niema tak znacznego przedziału między kulturalnym poziomem masy i inteligencji. Musimy przy reorganizacji szkolnictwa przyjmować na uwagę, że szkoły ludowe tworzymy dla dzieci, których rodzice są przeważnie analfabetami.

Osiągnięcie jakichkolwiek rezultatów w dziedzinie nauki własnego języka staje się przez to trudniejsze, niż gdzie indziej, a wprowadzenie obcego języka już od 8 roku życia, jeszcze bardziej nieodpowiednie. Rozpoczynanie nauki niemieckiego od klasy 3-iej zmusza do uwzględnienia systematycznego kursu gramatyki polskiej już w drugim roku nauki i przeładowania tym przedmiotem programu klasy 3-iej, ponieważ, jak zaznacza odpowiednia instrukcja Rady Szkolnej, „gramatyka polska musi wyprzedzać niemiecką”. Zbyt wczesna nauka gramatyki, zanim dziecko posiędzie większy zapas materiału językowego, jest bezużyteczną, nużącą, zniechęcającą do nauki wogóle, a więc szkodliwą dla rozwoju dziecka i szkoły.

Suma wiadomości, udzielanych przez nasze szkoły ludowe, nawet miejskie, wobec konieczności założenia w krótkim czasie wielkiej ilości szkół, będzie musiała, z konieczności, przez czas dłuższy pozostać niezbyt obfita, gdyż przede wszystkim chodzić będzie o upowszechnienie nauczania, a środki będą ograniczone. Niewątpliwie przeważna ilość dzieci miejskich uczęszczać będzie, jak dotychczas, nie dłużej niż 4 lata do szkoły. Wobec czego nauka języka obcego

w ciągu 3-go i 4-go roku, która z konieczności na tych dwóch latach będzie się ograniczać, nie da żadnych rezultatów, natomiast obciążą tygodniowy wymiar godzin i nie pozwoli zużytkować czasu na niezbędne zaznajomienie dzieci z językiem ojczystym, historią kraju i najważniejszymi wiadomościami z otaczającego świata.

Wobec dotychczasowego systemu wynaradawiania przez szkołę, tylko szerokie uwzględnienie nauki języka polskiego, jako podstawy, na której budować można znajomość kultury własnej i obcej, umożliwić może przejście z dotychczasowego stanu na stopień wyższy oświaty ogólnej; nauka obcego języka w szkole elementarnej stanowić musi z powodów wyżej przytoczonych, bardzo poważną przeszkodę w stworzeniu tej podstawy.

Co do przytoczonych tu argumentów natury pedagogicznej i przeszkód z dzisiejszego położenia kraju i szkolnictwa wynikających, opinią społeczeństwa, oświadczająca się przeciw nauce języka niemieckiego, jest jednomyślna.

Wyraził ją także Wydział Oświecenia w Warszawie, wypowiadając się w osobnej uchwale przeciw wprowadzeniu nauki języków obcych do szkoły elementarnej. Nie znaczy to jednak, aby społeczeństwo nie zdawało sobie sprawy z potrzeby i konieczności nauki języków obcych. Od chwili powstania szkół polskich w Królestwie języki te zostały uwzględnione w szkole średniej w znacznie obszerniejszym zakresie, niż w szkołach rządowych.

Wobec wyżej przytoczonych motywów najusilniej upraszamy Generalne Gubernatorstwo o wydanie odpowiedniego zarządzenia w sprawie usunięcia nauki niemieckiego z programu reorganizowanych w Królestwie oraz z programów kursów uzupełniających dla dotychczasowych nauczycieli ludowych, zmierzających do uzdolnienia ich w kierunku nuczania obcego języka w szkołach, przez nich prowadzonych. Poza tem najgorętszem życzeniem społeczeństwa jest, aby w jak najrychlejszym czasie mogło zająć się w szerokim zakresie pracą nad podźwignięciem naszej zaniedbanej oświaty, co stałoby się możliwem drogą powołania przez społeczeństwo rad szkolnych o szerokim zakresie działania i najdalej idących kompetencjach, obejmujących całe terytorjum okupowane.

Raptularz tygodniowy.

Szkoła Rysunkowa. Zdawałoby się, że urządzona przed czterema tygodniami wystawa prac uczniów Szkoły Rysunkowej zachęci i zainteresuje szczerze nasz ogół inteligentny w Zagłębiu — że z rozpoczęciem nowego półrocza Szkoła będzie się mogła pochlubić i liczbą uczniów i nadzieją normalnego rozwoju. Rzeczywistość jednak przeczy najszkaradniej tym przypuszczeniom. Szkoła pozyskała dzięki wystawie z nowym półroczem aż... 4 nowych uczniów. Na oddział dziecięcy, którego pomysł był bardzo szczęśliwy, nikt absolutnie dziecka nie zapisał. Wnioski: sądzić, że mieszkańcy Sosnowca niewiele się interesują naogół sztuką, byłoby nietyle może usprawiedliwione, ile zbyt pospieszne; raczej przyznać trzeba, że jest to raczej epidemicznie grasujące pewnego rodzaju wyczekiwanie lepszych czasów, bezwładność, czy jakby-tam to określić. Wystawę zwiedziło około 300 osób. Nie jest to, co prawda, zawiele, ale dostatecznie, ażeby dać wyraz zainteresowaniu przez poparcie. A sympatyczna uczelnia p. Pietraszewskiego wyczekuje go zapewne z upragnieniem i w zupełności nań zasługuje.

Założona w styczniu roku zeszłego, mogła się pochwycić pokaźną liczbą 42 uczniów. Przeważna większość na rysunku technicznym. Już w drugim półroczu jednak

ogólna liczba uczniów zmalała do 10-ciu i właśnie z pracy wytrwałej gromadki składała się wystawa Szkoły. Zmniejszenie się liczby uczniów tłumaczy się przede wszystkim tem, że wielu z pośród nich (rysunek techniczny) wyjechało zagranicę dla chleba.

Wystawa zrobiła bardzo miłe i dodatnie wrażenie. Na wyróżnienie zasługiwały prace zarówno w dziale rysunku technicznego, jak i malarstwa. Może tylko w tym ostatnim za dużo było właśnie „malarstwa”, a za mało „rysunku”, który Szkoła winna szeroko uwzględnić w obecnym półroczu. W każdym bądź razie znać we wszystkim gorliwość, zamiłowanie i wprawną rękę kierowników, jako też dużo dobrych chęci i niepoślednich zdolności niektórych uczniów i uczennic (pp. Brożynówna, Fazan i inni).

Już to wogóle z uznaniem podnieść należy zabiegi i pracę zarówno założyciela samej Szkoły, p. Józefa Pietraszewskiego (rysunek techniczny), jak i p. Stefana Andersa (klasa rysunku i malarstwa) oraz p. Ant. Fularskiego (rysunek techniczny). Cicho i skromnie oddają swój trud umiłowanej idei, w przeświadczeniu, że placówka kulturalna tego rodzaju jest potrzebna w Sosnowcu, i w nadziei, że przecież inteligentny ogół Zagłębia okaże jej swoją życzliwość i patronat; a przede wszystkim w najprostszym sposób zadokumentuje potrzebę jej istnienia.

Lichwa chlebowa. Ze strony miarodajnej dowiadujemy się o nowym procederze nieprzebierających w środkach handlarzy żydowskich, którzy jeżeli chodzi o „interes” nie uznają żadnych względów natury etycznej. Oto ostatnimi dniami gromadnie poczęli nachodzić sklepy komisji żywnościowej i na mocy posiadanych „kartek chlebowych” nabywać chleb w większej ilości, co naturalnie musiało zwrócić powszechną uwagę. Chleb ten potem sprzedawali, jak się przekonano, w swoich sklepikach po 70—80 kop. bochenek 4 funtowy.

Jak się okazuje przed niedawnym czasem, kiedy żywność można było jeszcze otrzymywać z terenów okupowanych przez wojska austriackie, handlarze ci poczęli wyłudzać za parę groszy „kartki chlebowe” od biednej ludności uważając snąć, że można będzie na nich zrobić „dobry interes”, kiedy „kordon” zostanie ściśle obstawiony i dostarczanie żywności z tamtej strony uniemożliwione całkowicie, co się też sprawdziło.

Należy przypuszczać, że handel kartkami chlebowymi uprawianym był na szerszą skalę i że handlarze owi są jeszcze w posiadaniu ich w większej ilości. Biedna ludność na tem najbardziej cierpi. Należałoby ten rodzaj wyzysku radykalnie ukrocić przez pociąganie przemysłowych sklepikarzy do odpowiedzialności, co niewątpliwie wpłynęłoby „umoralniająco” na inne tym podobne indywidua.

Chochlik.

DZIAŁ BELETRYSTYCZNY.

DWA STRUMIENIE.

I.

Kiedyś...

*I odejdziemy my, którym być dano
Ojczyzny tarczą, z naszych serc kowaną —
Spoczniemy cisi, któż wie, w jakiej stronie,
Nad jaką rzeką, na czym zagonie...*

*I legną na nas zwałem czarne noce,
I żadna gwiazda nam nie zamigoce;
I legną na nas śniegi nieskalane,
Skrami przepysznych djamentów krzesane,
Jak skrzydła snów...*

*O, śnie ty nasz, bogaty
W błękit nadziei, w poświęceń szkarlatyl...*

*A kiedyś, kiedyś, gdy zabrzmi rozgłośnie
Dzwon Zmartwychwstania, w jakiejś krasie-wiośnie,
My — duchy czyste, jak słońca iskrzyce —
Wzlecim na wioski, pola, okolice —
Stamtąd, wpatrzeni w czynów swych urodę,
Pobłogosławim nowe życie — młode...*

M. Pobóg.

II.

A więc cóż z tego, że nas tu nie będzie...

*A więc cóż z tego, że nas tu nie będzie,
że kości nasze czas w proch pozamienia,
cóż, że legniemy w pyle zapomnienia, —
gdy trzeba jedno cichej pracy wszędzie.*

*A choć noc śmierci ciała nam oprzędzie,
to — kiedy przyjdą nowe pokolenia
i trudy ważyć myśli i ramienia —
każda garść ziemi błogosławić będzie!*

*A więc cóż skarga, cóż nam jęk pomoże?
i poco wdychać, założywszy ręce,
i poco wątpić i mówić: „Nie mogę...”*

*Trzeba dobywać sił! Choć nie dla nas może
świt... Lecz budujmy, sami chodząc w męce,
dla dzieci naszych jasną, lepszą drogę!*

R. Musiałik.

Nowy tom listów Słowackiego.

I.

Nareszcie się ukazał. Zapowiadał go Meyet z roku na rok i wciąż odwlekał, wciąż kompletując. Z jego śmiercią znikła nadzieja wykrycia jeszcze czegoś więcej, i oto Towarzystwo Naukowe Warszawskie otrzymało, na mocy ostatniej woli niezmordowanego zbieracza, prawo publikacji wszystkiego, co mu się udało w ciągu lat całych z rozproszonej korespondencji Słowackiego zebrać, i postanowiło dłużej już nie zwłóczyć. Pracę wydawniczą podjął z ramienia Towarzystwa i prawie do końca doprowadził p. Manfred Kridl. On wydanie krytycznie przygotował i rozpoczął druk, a skoro wojna nie dała mu dzieła dokończyć, zastąpili go i wreszcie w sierpniu 1915 r. książkę do rąk publiczności oddali Ignacy Chrząnowski i Bronisław Chlebowski.

Listów zupełnie nieznanych przynosi ten tom ledwie kilka. Meyet każdym nowoodkrytym dzielił się natychmiast prawie z publicznością na łamach któregoś z czasopism; tak że prócz drugiego listu do stryja, Erazma Słowackiego, który dotąd znany był tylko w urwkach, a dalej, prócz jednego listu do Odyńca (z 22-go kwietnia 1832 r.), dwu listów do Teodora Rutkowskiego z początku roku 1848 i wreszcie listu do stryjecznego brata Władysława z 14 marca 1845 — wszystkie były już gdzieś i kiedyś drukowane.

Na doniosłości jednak publikacja bynajmniej przez to nie traci. Dla specjalistów stanowi ona ogromne ułatwienie, bo nie będą już potrzebowali szukać listów po różnych czasopismach z różnych lat, ale mają je zgromadzone razem i to w naukowo ustalonym tekście i ze wszystkimi koniecznymi objaśnieniami. A już szerszej publiczności przedstawi się ten tom jako zupełna nowość. Do bliższej znajomości zewnętrznego i wewnętrznego życia poety przyczyni się on znakomicie. Wiele luk w korespondencji z matką szczęśliwie wypełnia, w wielu szczegółach uzupełnia ją i sylwetkę duchową poety, tam zarysowaną, cieniuje i uwypukla.

Listy do matki, te, które znamy, rozpoczynają się przedewszystkiem późno, bo dopiero od wyjazdu Słowackiego z Warszawy w 1831 r. Tutaj tymczasem, pomijając już mało znaczące trzy początkowe listy z tak wcześniejszych lat, jak 1820, 1824 i 1827, do Erazma Słowackiego i Jakóba Becu pisane — mamy odbicie całego, bardzo ważnego, warszawskiego okresu życia poety (1829—1831) w korespondencją jego z siostrą przybraną, Aleksandrą Becu.

Dotąd jedynym źródłem wiadomości o tym okresie był urywek pamiętnika poety, spisywanego w r. 1832 bardzo ogólnikowo. Teraz na podstawie tych listów do „Olesi” możemy sobie utworzyć obraz ówczesnego życia Słowackiego wcale dokładny. Śladu głębszych przeżyć duchowych niema tu, podobnie jak nie było w pamiętniku. Zdaje się, że poza życiem towarzyskiem i literackim nic jeszcze wówczas młodego romantyka nie interesowało. Pogląd jego na świat jest w tej epoce wyłącznie estetyczny. Idee moralne i patriotyczne, cała coraz bardziej parna atmosfera spiskowa i rewolucyjna, którą młodzież warszawska wówczas oddychała — wszystko to le-

zało widocznie najzupełniej poza obrębem jego myśli i uczuć, bo ani tu w listach, ani potem w pamiętniku nie pozostawiło najdrobniejszego śladu.

Posadę w ministerjum skarbu otrzymał — jak się dowiadujemy — przy pomocy protekcji Jana Śniadeckiego. To tłumaczy, dlaczego — jak pisze w pamiętniku — okazywano mu tam szczególne względy. Ale o tej „urzędowej” stronie jego życia nie dowiemy się z listów do p. Becu prawie nic. Praca biurowa była mu oczywiście wstrętną i najchętniej o niej nie myślał. Natomiast znajdujemy obfite sprawozdania z wieczorów, w różnych najmodniejszych salonach stolicy spędzanych, znajdujemy uszczypliwe uwagi o spotykanych tam ludziach, wrażenia z często odwiedzanego teatru i wiadomości o różnych nowych publikacjach. Świat literacki, młodszy przynajmniej, poznał Słowacki cały. „Największym dla mnie teraz roztargnieniem i zabawą — pisze 15-go kwietnia 1829 r. — są kłótnie między poetami a recenzentami warszawskimi, których wszystkich prawie poznałem.” Ułatwił mu to bardzo już sam fakt, że znał blisko z dawniejszych czasów wszędobylskiego przyjaciela wszystkich, A. E. Odyńca. Ale, znając wszystkich, nie zaprzyjaźnił się z nikim i życzliwie nie pisał o nikim. Z Odyńcem był nazewnątrzy niby w przyjaźni, a przecież gdy o nim lub o jego „Izorze” wspomina, widać z drwinowatego tonu, że go jako człowieka lekceważy, a jako talent ceni bardzo nisko.

Z kilku odezwań się widać żywe zainteresowanie się Mickiewiczem. Jest bardzo ciekawy zdania p. Ludwika Śniadeckiego o „Szanfarym” i „cieszy się bardzo”, gdy tłumaczeniu tego poematu, dokonanemu przez Ludwika Spitznagla, przyznała nad Mickiewicza przekładem wyższość. „Szanfary” w tego ostatniego tłumaczeniu stracił — jego zdaniem — moc zupełnie, a nawet przybrał jakąś odrazy pełną postać.”

Zato w liście do Odyńca z 21 maja 1829 r. (jedy-nym jaki poza listami do Aleksandry B. z tego okresu się zachował) mamy zwrot do Mickiewicza, przeniknięty głębokim, pokornym prawie wobec autora „Dziadów” respektem. „P. Mickiewiczowi — pisze Słowacki — oddaj pod sąd moją powieść (Hugona), będę bardzo wdzięczny, jeżeli zechce ją przeczytać. Nieskończenie byłbym mu obowiązany, gdyby raczył choć kilka słów własnoręcznie o niej napisać, boję się jednak, żeby ta prośba nie była podobną dowcipnego Łopatki (?), czynionego ci przy wyjeździe. Rozważ więc sam moją prośbę i nie powtarzaj jej Mickiewiczowi, jeżeli ją zanadto śmiała być mnie-masz”.

Następny (i zarazem ostatni z zachowanych) list do Odyńca mamy już z Paryża z 22 kwietnia 1832 roku. Z czasu pomiędzy wyjazdem z Warszawy a tą datą nie przynosi obecny tom listów żadnych, a z czasu pierwszego pobytu w Paryżu tylko właściwie ten jeden, bo dwóch krótkich prośb o zajęcie się rozprzedażą Poezji, adresowanych do Leonarda Chodźki i do księgarza Korna, można nie brać w rachubę.

Ten drugi list do Odyńca zasługuje na uwagę, choćby ze względu na wielką różnicę tonu i nastroju, jaka zachodzi między nim a współczesnymi listami do matki. Gdy w tych ostatnich tak sympatycznie usposabiają dla poety jego wyrzuty sumienia z powodu ucieczki z Warszawy w czasie powstania, gorąca chęć zmycia tej plamy w najbliższej przyszłości, ciągle troskanie się o „zdrowie kuzynki” (Głos Polski) — to tutaj, w liście do Odyń-

ca, wygląda Słowacki jakby go zupełnie, jak przedtem w Warszawie, nie zajmowało nic prócz jego własnej osoby na tle literackiego i salonowego życia. Ten sam, co w warszawskich listach, owszem bardziej niż tam, drwiący sposób mówienia o wszystkim i wszystkich, a niektóre ustępy, te mianowicie, które wspominają o zakochanej w poecie młodziutkiej Korze Pinard, mają ton jakiś dziwnie nieprzyjemnie chępliwy, prawie cyniczny. Najwięcej miejsca zajmuje tu zresztą fakt ukazania się pierwszych tomików poezji i widoczna, dziecinna z tego powodu radość.

Z pobytu w Genewie jest przedewszystkiem cały szereg listów do Cezarego Platara. Naogół nieciekawe one, bo wszystkie związane z jedną tylko sprawą, ze sprawą medalu, pamiątki powstania na Litwie, którego wybiciem, w Genewie właśnie, poleciło się Słowackiemu zająć Towarzystwo litewskie i ziem ruskich.

Jaden wszakże szczegół w tej korespondencji jest ciekawy. Dotyczy przyczyn nagłego wyjazdu poety z Paryża do Genewy z końcem 1832 r. Dotychczas tłumaczyliśmy sobie ten wyjazd ukazaniem się III cz. „Dziadów” Mickiewicza i zawartą w nich charakterystyką Dra Becu. Sam Słowacki pisał do matki 30 listopada 1833 r., że „była to... *) z przyczyn, dla której do Genewy wyjechałem”. Tymczasem tutaj, w tych listach do Platara, przedstawia rzecz tak, jak gdyby jedyną i wyłączną przyczyną wyjazdu był właśnie ów medal — była chęć oddania przysługi Towarzystwu litewskiemu. Obruszając się na jakieś wymówki, które mu robiono, tak się skarży: „Wyjechałem do Genewy w pół zimy, która wołałbym był w Paryżu przepędzić — straciłem blisko 200 fr. na drogę — oddaliłem się z Paryża, kiedy miał się zacząć druk trzeciego tomu moich poezji — opóźniłem ich wydanie — bo dopiero w tych dniach na świat wychodzą... W Genewie życie kosztuje mię (sic!) drożej niż w Paryżu... naraziłem się na sąd lekkomyślny ziomków — i to wszystko winien jestem szczerzej chęci przysłużenia się wam — zarobienia na wasz szacunek”.

II.

Ze wspomnianym listem do matki z 30 listopada 1833 r. i z tem, co w nim Słowacki pisze o Mickiewicz, dziwny i niemiły kontrast stanowi także, bliżki mu datą, list pisany z Genewy do Ignacego Domejki. „Odebrałszy wiadomość — donosi poeta przyjacielowi Adama — o wypadkach, o których wiedzieć musisz — że Garczyński umarł a Mickiewicz tylko co się nie utopił — szczęściem jednak Bóg nam zachował naszego pierwszego poetę”. Jak szczególnie brzmią te słowa z 15 listopada w ustach człowieka, który w dwa tygodnie potem pisał do matki: „...nie uwierzcie, ile męki... cierpię, ilekroć ludzie chcą zdanie moje o Adamie słyszeć. Nienawidzę go...”.

Czyż Domejko chciał słyszeć zdanie Słowackiego o Adamie?

Zresztą z listów genewskiego okresu zasługuje jeszcze na uwagę list do Eustachego Januszkiewicza. Wątpliwość np. czy Słowacki znał „Wacława” Garczyńskiego przed napisaniem swego „Kordjana”, znacznie ten list zmniejsza. Prosi w nim bowiem poeta 20 lipca 1833: „Przyslij mi także poezje Stefana Garczyńskiego, bo z dziennika bibliograficznego dowiedziałem się, że wyszły z dru-

*) Brak jakiegóż wyrazu.

ku" — a z listu do matki wiemy, że przeszło dwie trzecie „Kordjana”, a więc i cały akt III o spisku koronacyjnym, który i Wacławowi służy za tło — powstał dopiero w jesiennych miesiącach tego samego roku.

Z tego listu dowiadujemy się też, że powiadanie staro Horsztyńskiego o tem jak „Rosjanie Konfederatów barskich w ziemię zakopywali i głowy kosili jak trawę”, zawdzięczamy kursowi historii polskiej „improwizowanej” wówczas w Genewie przez p. A. Thourel.

Listy pisane do tegoż Januszkiewicza z podróży na Wschód dochowały się niestety tylko w dwu urywkach. Jeden mało znaczący, drugi, przytoczony jako cytat w liście Januszkiewicza do narzeczonej, stanowi bardzo charakterystyczny komentarz do Anhellego. „Może ci kilka scen tego poematu uśmiech (?) wycisnąć, przypominając emigrację. Wreszcie jest to zidealizowany Sybir, — ja sam zidealizowany, a wszystko razem jest tylko nastreśnieniem kilku obrazów dla malarza, jeśliby się taki zjawił w Polsce”.

Jest tu nowy dowód, że stwarzając postać anielskiego młodzieńca, siebie miał poeta na myśli — jest też świadectwo — a może pozór tylko? — że strona artystyczna Anhellego obchodziła autora w gruncie rzeczy więcej niż ideowa. W każdym razie cenny dodatek do tego arcyważnego komentarza poematu, jaki się mieści w późniejszym, powszechnie już znanym liście do Gasińskiego z 1839 r. Ten ostatni list znajdzie czytelnik w obecnym zbiorze oczywiście także.

Z następnych korespondencji najciekawszy jest szereg listów do pani Bobrowej i wiążące się z tym miłosnym epizodem życia poety, francuskie listy pisane z Frankfurtu do Leonarda Niedźwiedzkiego. Te ostatnie scharakteryzował już prof. Tretiak w swem dziele o Słowackim i jak wiadomo już stamtąd, nie przynoszą one pociechy zaszczytu. Za to listy do p. Bobrowej są może najbardziej zajmujące w całym zbiorze. Naprzód są prawdziwie piękne. Powtórę pozwalają doskonale ocenić cały ogrom zmiany, jaka zaszła w autorze Beniowskiego przez Towianizm. Podczas gdy pierwszych pięć ukazuje Słowackiego w roli — to popisującego się dziecinnie pojedyńkowem bohaterstwem, to natarczywego w przymieniach, to znów narzekającego na nieczułość i zazdrośnego zalotnika — a n. b. zalotnika uzbrojonego w całą świetność petyckiego stylu — to od szóstego począwszy, zjawia się w tych listach nowy zupełnie człowiek. Ten szósty list pisany był 15 lipca 1842 roku, a więc w dwa dni po przełomowej rozmowie z Towiańskim i po wierszu: Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże. Stosunek z p. Bobrową będzie trwał dalej, ale jego tło będzie teraz zupełnie inne. „Niech to, co było — mówi poeta — zapisane zostanie w powietrznych kartach księgi przeszłości — a teraz uważaj mnie pani za wiernego sługę — za dobre nastrojoną harfę — z której ile razy zechcesz Pani prawdziwy ton wyciągnąć, da ci go — ile razy fałszu szukać będziesz — fałsz będzie winą Pani — i głos wydobyty ze mnie nie pocieszy jej”.

I wierzy Słowacki, że terazniejszym jego uczuciom nie będzie już Pani B. tak oporna, jak była dotąd tamtym uczuciom ziemskim. Ona odczuwała widocznie, że serce jego było dotąd jak źródło wyschnięte. „Uczucia szczere nauczyły się jak jaskółki odlatywać gdzieindziej po wodę... drzewa nade mną uschły, a tę martwość około mnie czułaś Pani przecuciem, a ja przez cały czas czułem także, że serce Pani lękało się i cofało odemnie z przetrachem... Teraz ta tortura moja skończona — bo zmarłychwstałem. Teraz wiedz Pani, że ja kocham jako

pięknego ducha, który leciał i upadł i cierpi — co będzie we mnie mocy wskrzeszania, wydobędę z siebie — aby duchowi temu lżej było — i szerzej i szczęśliwiej”.

Jakoż wszystkie następne listy — a ostatni z nich jest już z końcowych tygodni życia poety — są pełne miłości, ale jakiejś nieziemskiej już zgoła, smutnej i cichej, ożywionej tylko jednym zawsze, gorącym pragnieniem tem, z którym Słowacki zwracał się w tym czasie do wszystkich bliskich sobie — pragnieniem przelania w upodobaną duszę, choć części tego uduchowienia zupełnego, w którym sam coraz wyżej się wznosił.

Listy do Krasieńskiego, które w obecnym tomie zaraz po listach do dawnej kochanki autora Irydiona następują, są zbyt znane, aby się tu nad nimi zatrzymywać. I one i wszystkie dalsze już, aż do końca książki, promieniają tą księżycową poświatą ducha wyzwolonego, którego ciało, znikające coraz widoczniej i spalane gorączką, zda się już prawie nie więzić. Najpiękniejsze z tych dalszych są listy do Wojciecha Stattlera. Mówią wiele pięknych rzeczy o sztuce i o jej rewelatorskim posłannictwie i tak są przepełnione szelestem skrzydeł anielskich, że streszczać ich wprost nie można, a cytować chciałoby się za dużo. Poprzestanę na przytoczeniu jednego tylko ustępu. Adresowany on jest do nowonarodzonego synka krakowskiego artysty, a czytelnik gotów uleść złudzeniu, że może do Matejki: „Dlaczego ty dziecię moje nie miałbyś wyobrazić ludzi na płótnie — myśli ich o dawnej Polsce, tej wschodnio błyszczącej strony charakteru narodowego — która musi kiedyś wytrysnąć na wierzch obrazowością podobną kolorytem do obrazów Pawła z Werony — z równym zgiełkiem osób z różną wrzawą kolorów na scenę świata wychodzącą”...

Czy nie prorocze słowa?

Kończy się tom listem, na parę miesięcy przed śmiercią pisany, do Kornela Ujejskiego. Jeden to z najpiękniejszych. Z wyżyny swej „widzącej wiary”, jakby z którejś z bram złocistych przyszłej „słonecznej Jeruzalem” wychylony, pragnie autor Króla Ducha uspokoić pełną bólu i skargi duszę Jeremiego i słowami promiennej nadziei chce ją napęlić. Widząc, że jego młodzieńki wielbiciel upiornym nastrojem Anhellego jest przejęty, nie waży się Słowacki ukochanego dawniej utworu swego potępić. „Lękaj się — pisze — tego głosu rozpacz, który w tem dziełku słysząc... Niechże ten siew straszny będzie daleko od ciebie. — Niechże ta przepaść, w którą Izraela pchnęły prorocтва lamentujące Izajasza, Jeremiasza i innych ostatnich wieszczów, Ciebie teraz nie zwabia. Duch mi to podyktował wczora — gdy już do serca wpuszczałem słodką truciznę harmonijnych słów twoich (Skarg Jeremiego) — oto widzisz, że przeciwko sobie powstawszy, spełniam mój obowiązek względem Ciebie. Bo Cię w duchu moim mam za wysokie światło, które za mgłami niknąć nie powinno — ale rozweselić się ma i stać się różaną pochodnią, o świecicielką tych stron, w których teraz zamieszkałeś — aby na gody pańskie przyszły ludność tych stron, z muzyką wesela twojego — krzycząc Hosanna! Hosanna! Panu — że oto Barankowi dana jest chwała i moc i Część i Panowanie — a czasu już nie będzie — i boleści już nie będzie i Bóg otrze wszelką łzę z oczu ich”.

Tak to książkę, którą się czytać rozpoczynało z ciekawością „historyczno-literacką” — którą się potem, w pierwszej połowie, odsuwało czasem z niesmakiem i z żalem do poety o to, że „serce jego nie było tak czyste jak djamentowe źródło i tak wonne jak lilie wiosen-

ne" — zamyka się w końcu z dziwnie nastrojoną duszą, z uczuciem pokornego niemal respektu. Tyle sprzeczności było w tym dumnym człowieku, tyle gorzkiego sceptycyzmu, tyle żółci zatrzymało mu serce i oto nagle czara łaski rozbiła się nad niem i stało się naczyniem osobliwszego nabożeństwa.

Kto sam ma duszę chłodną i wysuszoną, ten może powiedzieć, że ta łaska, to poprostu rodzaj religijnego obłądu. Ale kto ma serce i w serce patrzeć umie, komu nie tylko „prawdy martwe” są dostępne, ten nie uśmiecha się z politowaniem. Raczej wesprze głowę na dłoniach i zaduma się głęboko i w dal się jakąś błękitniejącą zapatrzy.

„Głos Narodu”.

Józef Ujejski.

ALFRED MUSSET.

Muska.

6)

(ciąg dalszy)

V.

Przybywszy do zamku, natknął się na drugiego szwajcara przed krużgankiem:

„Rozkaz króla”, wyrzekł, nie obawiając się już tym razem, że będzie miał do czynienia z halabardą i pokazawszy list, wszedł rażno i wesoło wpośród półtuzina lokajów.

Olbrzymiego wzrostu odzwierny, usadowiony w przedsionku, ujrawszy rozkaz i pieczęć królewską, pochylił się z powagą, na podobieństwo topoli zgiętej od wiatru, dotknął jednym ze swych kościstych palców koniec obicia i uśmiechnął się nieznacznie.

Nieduże drzewiczki, przysłonięte dywanem, otwary się natychmiast bez szelestu. Kościsty człowiek uczynił znak zapraszający: kawaler Vauvert postąpił naprzód i odchylony na chwilę dywan opadł za nim bez szumu, rozkosznie.

Jakiś milczący kamerdyner wprowadził go z początku do salonu, następnie na korytarz, na który wychodziły drzwi dwóch czy trzech pokojów, a potem znowu do drugiego salonu, gdzie go poproszono chwilę poczekać.

— Czyżbym był jeszcze w zamku wersalskim? pytał sam siebie kawaler Vauvert. Przyjdzie mi znowu grać w ciuciubabkę?

Trianon w owym czasie nie był ani tem, czem jest obecnie, ani tem, czem był w przeszłości. Wyrażano się, że pani de Maintenon uczyniła z Wersalu kaplicę, a pani Pompadour buduar. O Trianonie mówiono zaś, że pani de Montespan ów *porcelanowy pakcyk* obróciła w swój własny buduar. Cokolwiekby jednak opowiadano o tych wszystkich buduarach, nie ulega żadnej wątpliwości, że Ludwik XV zakładał je wszędzie. Galerja, po której swego czasu dziad jego przechadzał się majestatycznie, była naówczas podzieloną dziwnie na nieskończoną ilość przedziałek. Ani jednej barwy tam nie brakowało; król — jak motyl, który przelatuje z kwiatka na kwiatek, — chadzał sobie po tych gajach z aksamitu i jedwabiu.

„Podobają się pani moje minjaturowe salони?” pytał się król pewnego dnia pięknej hrabiny de Séran. „Niebardzo, odrzekła, wolałabym widzieć je na niebiesko”. A że kolor niebieski był barwą króla, odpowiedź powyższa wielce mu schlebiała. Przy następnej spotkaniu znalazła już pani de Séran salon, jak tego sobie życzyła, umeblowany na niebiesko.

Salon, w którym się kawaler Vauvert znalazł ostatnio, nie był ani niebieski, ani biały, ani różowy, lecz cały pokryty lustrami. Wiadomo, jak wiele kobieta posiadając piękną kibić, wygrywa, pozwalając swej postaci odbijać się w zwierciadłach w niezliczonych pozach. Olsniewa i pociąga tego, komu się chce podobać. I z której strony na nią nie patrzeć, zauważoną być musi; uniknąć jej — niepodobieństwo, — pozostaje tylko uznać się za pokonanego.

Kawaler Vauvert z prawdziwą ciekawością przypatrywał się również ogrodowi. W głębi szpalerów stojące posagi i wazy z marmurów zwiastowały już noworodzący się smak sielankowy. Margrabina poraz pierwszy wprowadziła go w modę, później zaś pani Dubarry i Marja-Antonina potrafiły rozwinąć go do stopnia niebywałej doskonałości. Zjawiły się już wówczas przeróżne fantazje sielankowe, dokąd niesmaczny kaprys szukał ucieczki. Nadęte trytony, surowe boginie i nimfy uczone, z głowami o wielkich perukach, złodowaciałe z przerażenia w swych niszach z zieleni, obserwowały powstający w pośród cisów zdziwionych park angielski. Nieduże trawniki, małe mostki, rzeczułki, miały wkrótce zdezonizować dawny Olymp, zastępując go mleczarniami, tą dziwną parodją przyrody, pomysłu anglików: istna zabawka dziecięca, którą zubożętniały na wszystko monarcha wymyślił dla spędzania czasu, nie wiedząc, jakby się nie nudzić Wersalem w samym Wersalu.

Kawaler Vauvert był zbyt uradowany i zachwycony ze swojej bytności tutaj, ażeby jakaś myśl krytyczna mogła się w nim zjawić. Przeciwnie, obracając list w palcach podziwiał wszystko, co go otaczało, gdy nagle młoda i przystojna pokojówka uchyliła drzwi i wyrzekła dzwicznie:

— Proszę pana.

Udał się za nią natychmiast. Przeszedł znowu cały szereg korytarzy, mniej lub więcej tajemniczych, i znalazł się nareszcie w dużym pokoju z okienicami do połowy przymkniętymi.

Służebna zatrzymała się tutaj, jakby nadśledzując.

— Ciagle ciuciubabka — pomyślał sobie kawaler Vauvert.

Tymczasem nie upłynęło kilka minut, jak drugie drzwi się uchyliły, a inna pokojówka, również piękna jak pierwsza, ukazała się, powtarzając te same słowa:

— Proszę pana.

Kawaler Vauvert, będąc w Wersalu, czuł się zmieszany, ale obecnie opanowało go uczucie innego rodzaju. Rozumiał, że stoi na progu świątyni, gdzie mieszka bóstwo. Posuwał się tedy naprzód z sercem bijącym; łagodne światło, delikatnie osłonięte lekkimi firaneczkami z gazy, nie rozpraszało ciemności; subtelny, zaledwie dostrzegalny, zapach unosił się w powietrzu naokół niego; pokojówka uchyliła bojaźliwie koniec jedwabnej portjery i w głębi wielkiego, w swej prostocie pięknego gabinetu

ukazał się oczom jego obraz młodej i pięknej damy z wachlarzem. Kawaler Vauvert poznał margrabinę.

— Była samą; owinięta w peignoir, siedziała przy stoliku, z głową opartą na ręku, cała pogrążona w myślach. Zauważywszy wchodzącego gościa, podniosła się ruchem gwałtownym, jakby od niechcenia.

— Przychodzisz pan od króla? spytała.

Kawaler Vauvert powinien był udzielić odpowiedzi; będąc jednak onieśmielonym, uklonił się tylko głęboko i wręczył przyniesiony list margrabinie. Pochwyciła go z nadzwyczajnym zapalem. I łamiąc pieczęcie, drżała ze wzruszenia.

List ten pisany własną ręką króla był względnie długi. Z początku przebiegła go jednym tylko spojrzeniem, następnie poczęła odczytywać cichwie i uważnie, marszcząc co chwila brwi i zacinając wargi. Nie była wtedy ładną; podobieństwo z dawną zjawą czarującą w małym foyer zniknęło. Skończywszy czytanie, zdała się rozmyślać. Po chwili pokryta bladością twarz jej zabarwiła się lekko na wiśniowo (o tej porze margrabina nie była jeszcze urożowaną) i nie tylko odzyskała cały swój urok, ale jakiś cudowny promień piękna musnął jej delikatne oblicze; policzki jej można porównać do dwóch listków róży. Westchnęła lekko, upuściła list na stolik i, zwracając się do kawalera Vauvert, wyrzekła z czarującym uśmiechem:

— Kazałam panu chwilę poczekać ale to dlatego, że jeszcze nie wstałam zupełnie. Zmuszoną byłam przeto polecić wprowadzić pana kryjówkami; zresztą, czuję się tutaj zupełnie, jak u siebie. Chciałabym odpowiedzieć słówko królowi. Podjąłby się pan mego zlecenia?

Teraz wypadało już koniecznie coś odpowiedzieć; kawaler Vauvert posiadał dostatecznie czasu, aby odzyskać trochę śmiałości.

— Niestety! wyrzekł ze smutkiem, za wiele to łaski dla mnie, skorzystać jednak z niej nie mogę.

— A to dlaczego?

— Nie posiadam zaszczytne należenia do dworu Jego Królewskiej Mości.

— A w takim razie, jakże się pan tu dostał?

— Zupełnie przypadkowo. Spotkałem na drodze pająka, który upadł na ziemię i prosił mnie...

— Co takiego? upadł na ziemię, powtórzyła margrabina, wybuchając śmiechem. (Wydawała się tak szczęśliwą w tej chwili, że wesołość przychodziła jej bez trudu).

— Tak, pani, upadł z konia przy bramie; znalazłem się tam szczęśliwie, aby mu pomódz się podnieść, a że odzież miał potarganą, prosił mnie podjąć się jego zlecenia.

— Jakim że to trafem pan się tam znalazł?

— Pani, mam prośbę do Jego Królewskiej Mości.

— Jego Królewska Mość mieszka w Wersalu.

— Tak, ale pani mieszka tutaj.

— Zaiste! A więc to pan w danym wypadku chciał włożyć na mnie obowiązek podjęcia się pańskiej sprawy.

— Pani, proszę mi łaskawie wierzyć...

— Nie obawiaj się, pan; nie jesteś pierwszym. Ale w jakim to interesie zgłaszasz się pan do mnie? Jestem tylko kobietą... zwykłą kobietą.

Margrabina, wypowiadając powyższe słowa to-

nem żartobliwym, rzuciła tryumfujące spojrzenie na list królewski.

— Pani, podjął kawaler Vauvert na nowo, słyszałem zawsze, że mężczyźni sprawują władzę, ale kobiety...

— ... ją posiadają, czy nie tak? Więc dobrze, istnieje przeież królowa Francji?

— Wiem o tem, pani, i dlatego właśnie znalazłem się tutaj dzisiaj rano.

Margrabina była aż nazbyt przyzwyczajoną do podobnego rodzaju komplementów, pomimo że szepłano jej zwykle po cichu; jednak w danym wypadku zdawała się być szczególnie zadowoloną.

No jakiej pewności, na jakim przypuszczeniu jednak budowałeś pan swoje nadzieje, przychodząc tutaj? Przypuszczam, że nie liczyłeś pan na żaden wypadek z koniem.

— Pani, sądziłem... byłem pewny...

— Czegoś był pan pewny?

— Że przypadek... mógłby uczynić wszystko...

— Ciągłe przypadek! Widocznie, to jeden z pańskich przyjaciół; tu jednak, zwracam panu uwagę, gdyby pan nie posiadał innych, nie na wieleby się panu ów przyjaciel przydał.

Być może, urażona zapragnęła się pomścić za dawne nieuszanowanie, gdyż kawaler Vauvert, zająknotany do głębi ostatnimi pytaniami, ujrzał nagle w kącie stoła zupełnie ten sam wachlarz, który podniósł swego czasu z posadzki. Wziął go do ręki i jak dawniej wręczył margrabinie, przyklękając przed nią.

— Oto, pani, jedyny mój przyjaciel tutaj!

Margrabina zdawała się z początku zdziwiona, zawałała się chwilę i, przyglądając się na zmianę to wachlarzowi, to młodzieńcowi, wyrzekła w końcu:

— Ach, ma pan rację! Poznaję pana! To pana widziałam wczoraj po skończonej komedji, razem z panem de Richelieu. Upuściłam ten wachlarz, a pan się tam znalazł, aby go podnieść!

— Tak, pani!

— I wręczył mi go pan wytwornie, jak na kawalera przystało; prawda, nawet nie podziękowałam panu, jednak zawsze byłam przeświadczoną, że kto potrafi z taką uprzejmością podnieść wachlarz, w potrzebie potrafi również dobrze podnieść i rękawiczkę; a my, kobiety, kochamy się w tego rodzaju postępkach!

— Śluszna prawda, gdyż, przybywszy tutaj, o mało-co nie miałem pojedynku ze szwajcarem.

— Boże miłosierny! — krzyknęła margrabina w przystępie wesołości — ze szwajcarem! A to z jakiego powodu?

— Nie chciał mię wpuścić!

— Byłaby wielka szkoda! Ale, panie, kto pan właściwie jesteś? czego pan żąda?

— Nazywam się kawaler Vauvert. Księżę Bi-ron prosił dla mnie o miejsce chorążego w gwardji.

— Ach, tak! przypominam sobie. Pochodzisz pan z Neauflette i jesteś zakochanym w pannie d'Annebault...

— Pani, któż mógł to powiedzieć?

— O, uprzedzam pana, że trzeba mnie się bardzo obawiać! Gdy mi pamięć nie dopisze, zgaduję. Jesteś pan krewnym księdza Chauvelin, przez co i odmówiono pańskiej prośbie. Masz pan prośbę przy sobie?

— Oto ona, pani! Ale, doprawdy, nie jestem w stanie pojąć...

— I poco pojmovać? Wstań pan i połóż swoją prośbę na tamtym stoliku. Odpowiem zaraz królowi, a pan zanieśiesz mu sam jednocześnie moją odpowiedź i swoją prośbę.

— Ależ, pani! zdaje mi się, żeś rzekła...

— Niema co mówić; pójdziesz pan! Przyszedłeś do mnie w imieniu króla, czy nie tak? a więc doskonale, pójdziesz do króla w imieniu mojem, w imieniu pani de Pompadour, damy pałacowej królowej.

Kawaler Vauvert pokłonił się, nie przemówiwszy słowa, jakby w osłupieniu. Nie było wówczas żadnej tajemnicy, ile sprytu, intryg i starań użyła królewska ulubienica i co za upór wykazała w celu otrzymania powyższego tytułu, który w rezultacie nie przyniósł jej nic więcej, jak tylko sromotną zniewagę Delfina. Dziesięć lat go pragnęła; i silna jej wola nareszcie spełnioną być musiała. Kawaler Vauvert, którego margrabina dotychczas nie знаła, pomimo że była wtajemniczoną w jego sprawy miłosne, podobał jej się, jako zwiastun dobrej nowiny.

Nieruchomy, stojąc za nią, obserwował ją piszącą; z początku wkładała w tą pracę całą swą duszę; później przerywała ją czas od czasu, zamysławiając się i gładząc ręką swój przenikliwy nosek. Wreszcie poczęła się denerwować: świadek jej przeskadzał. Po długich wahaniach zaczęła kreślić i poprawiać; widocznie, był-to tylko bruljon.

Naprzeciwno kawalera Vauvert, z drugiej strony stołu, jaśniało przepiękne lustro weneckie. Nieśmiały posłaniec nie podnosił oczu z ziemi. Pomimo to było wprost niemożliwem nie ujrzeć w tem lustrze, poprzez głowę margrabiny, niespokojne i czarujące oblicze nowej damy pałacowej.

— Jakżeż ona jest piękna! — pomyślał sobie. — Niestety, kocham się w innej; a nawet Athenais jest o wiele ładniejszą i byłoby z mojej strony wstrętnem wiarołomstwem!...

— O czym pan mówisz? — spytała margrabina. (Kawaler Vauvert, jak-to było jego zwyczajem, myślał na głos, nic o tem nie wiedząc.) — Co pan powiada?

— Ja, pani? czekam.

tlom. z franc.

(d. n.)

Wacław Świeżawski.

Z mego notatnika.

Otrzymałem w tych dniach list, który mnie poruszył do głębi. Całej treści nie myślę przytaczać, aby nie potęgować już i tak dużego oburzenia wśród niektórych czytelników (czy prenumeratorów — nie wiem) na moją osobę. A wiecie za co? Ba, jeszczeby! Naturalnie — za sylwetki. Końcowy ustęp nadaje się do powtórzenia ze względu na skruchę, jaką w sumieniu piszącego te słowa wywołał.

„Zapamiętaj to sobie, swywojny Beesie — mówi anonimowy autor listu — że to twoje kpiarstwo jest dowodem wsteczności i w kulturalnym społeczeństwie nie może być tolerowanem. Kto widział tak ludzi ośmieszać? Niejedna z tych osób przecież tyle dobrych wykazała chęci — a że tam czasem coś tego... (w tem

miejscu ustęp nieco pokreślony, że go odczytać niepodobna) no to się zdarza... ludzka rzecz... Musisz być, jak inni: jeżeli bierze cię chętka osmarować kogoś (bardzo ładne określenie — nieprawdaż?), tedy smaruj, ile się zmieści. Wolno ci jest u nas zrównać człowieka z błotem, jeżeli ci to jest dla dopięcia celu potrzebne, no i nota bene osobnik ów jest twoim przeciwnikiem. Ale tak ośmieszać ludzkie grzeszki bez różnicy i wyboru na lewo i na prawo, bez powodu, nie będąc ani „sprowokowanym” (wyrażenie, jakie już ktoś, zdaje się, w podobnym wypadku był użył), ani zaczepionym — kto widział? Weź-że sobie na rozum, człowieku, i zastanów się a opamiętaj. I zresztą sam przyznasz, że to nie twój *genre* — „Głos Polski” nie jest żadne *zdanie*, jeno głos... wołającego na puszczy. Lepiejby może było nawet, gdybyś się wziął do jakiejś uczciwszej pracy...”

Czyby sumienie cię nie ruszyło, piękna czytelniczko i zacny czytelniku? Zresztą, pytanie może niewłaściwie skierowane, bo przecież ktoś z was mógłby się postawić w mojem położeniu? I niby z jakiej racji? Sumienie dzisiaj jest pojęciem indywidualnie pojmo-
wanem — ja, dajmy na to, na takie *dictum* mogę skamienieć ze wzruszenia albo — mówiąc językiem panieńskim — rozplnąć się, a ktoś inny — tylko wzruszyć ramionami. Racja aż bije z każdego słowa. Naturalnie, możeby inaczej należało o tem sądzić gdzieindziej, ale u nas, w Zagłębiu, jest-to jedyny punkt widzenia. Zawiniłem — najwidoczniej...”

Z rozpaczy postanowiłem onegdaj napisać odę na cześć pierwszego-lepszego *malkontenta*, jaki się zjawi przede mną, nie iżbym miał jego samego wychwalać, płać peany na jego cześć, ale tak — dla idei, przez kult dla prawomyślności naszego zaścianka. Przez skruchę trzeba przynajmniej w ten sposób zmasać winę swoją. Traf zrządził, żem się natknął nie na jednego, ale na czterech, wyraźnie na czterech *niezadowolonych*. Huragan wymówek ostrych, a bezwzględnych, bezapelacyjnych słów posypał się na mnie, zanimem zdążył dobyć głosu.

Malkontent I. Nie, to karygodne, moi panowie! To... to... powiadam wam...

Malkontent II. Już-to wogóle my nie mamy kultury! Kto widział? Wszak to są zwykłe plotki, oczernianie ludzi —

Noga Od Stołu (wpadając-mu w słowa). Tak... tak... zwykłe plotki —

Malkontent I. Trzeba się było zwrócić najsamprzód do tego pana i zapytać się, co o tem sądzi, ale tak pisać, bez powodu i podstawy...

Malkontent III. Ja też właśnie do ręki tego pisma nie biorę... Jakąś satyra — do czego podobne? Krytykować — kogo? nas? Dobrze sobie!

Noga Od Stołu (jak echo). Dobrze sobie! Paradne!

Wiatr Za Oknem (beznadziejnie smutny). To nie o was, panowie, jeno o życia ciężyznę chodzi... Drobiazgi, o które wam idzie — nie tak należy rozumieć. Szkoda, żeście tacy nadczuli i wrażliwi — szkoda...

Malkontent IV. W tem musi być intryga jakiejś kliki, której zależy na ośmieszeniu niemiłych sobie ludzi — i nic więcej. Żadnych względów, żadnej etyki, jak zwykle —

Ja (zebrawszy dech). Ależ, moi kochani panowie...

Noga Od Stołu. Co tu mówić nawet o tem? Żadnych tłumaczeń! Ludzi skrzywdził i jeszcze chce się tłumaczyć —

Ja. Moi przezacni nietykalni panowie — chwileczka uwagi i skupienia — To nie o was chodziło, tylko...

Noga Od Stołu (wpadając mi w słowa). O poczytność two-
go pisma może? He?

Obecni. Aaaa!

Ody, naturalnie, już nie wygłosiłem.

Bees.